Cena N-ru 20 Mkp.

ROK 53. KRAKÓW, DNIA 21 SIERPNIA 1921. Nr. 34.

DJABEŁ

Prenumeratę, listy, artykuły należy nadsyłać pod adresem
WYDAWNICTWO TYGODNIKA „DJABEŁ"
WŁADYSŁAW BORKOWSKI
Kraków, ul. Niecała 4.
Cena egzemplarza 20 Mkp.

PRENUMERATA W KRAKOWIE I NA PROWINCYI WRAZ Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ:
MIESIĘCZNIE 80 MKP.
Cena egzemplarza 20 Mkp.

WYCHODZI CO SOBOTĘ.

TYGODNIK SATYRYCZNO-HUMORYSTYCZNY, ILUSTROWANY.

AD MAJORAM GLORIAM MUNDI.



Lidze narodów bawić się kazano
Footballem, w którym Śląsk gra rolę piłki...
Biedna ty Polsko! — pókiż lada zgniłki
Nad twą przyszłością znęcać się przestaną?

Od Wydawnictwa.

Do Szanownych P. T. Prenumeratorów.

Prosimy o odnowienie prenumeraty! Warunki w nagłówku. — Adres wydawnictwa tygodnika »DJABEŁ«:

Władysław Borkowski, Kraków ul. Niecała L. 4.

WICEK SOCJALIK.



A no, choć sie wzdragający, powróciułem psiokrew do moich „laurów i piernatów“, jak grypsają leteraty [1]). Ale ledwo psiokrew dycham, taki tu okrutny gorąc w tym grodzie Witosów i Jagiellonów. Tak samo słuńce grzało mie psiokrew na wsi, ałem mógł dychać, bo ci beło świże i pachnące powietrze, a nie śmierdziało psiokrew z kużdygo kanału, z kużdygo podwórza, ze sieni, bramy, na schodach, już nawyt nie mówiący o tych psiokrew mijscach, do których tero królowie piechty lotygo ino nie chodzom, że ci jeich nim). Na wsi tom ci wyszed z domostwa do ogrodu i beł jakby w jakij psiokrew fabryce perfon, tak ci woniały trawy i kwioty — a tu jak ci wylizę z kamienicy, to mi sie widzi, com wlozł do garbarni, abo do leówki na plantach. Na wsi, tom ci beł chodzący po trawie, jako psiokrew po jaksamicie, a w Krakowie to ci psiokrew turgam sie po gorących dziurach jasfaltowych. Lotygo choć na wsi taki sam gorąc jak w mieście, to ci go brachu mnij czujesz i bez to żyć psiokrew możesz.

Dwie som ino na wsi rzeczy psiokrew gorszejsze. Pirsze to muchy. Kiedy to grypsam, obzirom sie po całym psiokrew miszkaniu i ani jednej uźryć nie mogę — a na wsi, to chociem je wypędzał, truł, topił, co ci w moim pokoju beło jeich kielka tysincy, a w ogrodzie kielkadziesiąt miljonów. Gdybyś brachu sie nie opędzał, toby z ciebie wszystkom psiokrew krew wypiuły. Muszę być psiokrew okrutnie słodki, co ci sie te sufragany siadały na mnie jak na jakim placku, abo torcie ocukrzonym. Czem lo pszczół som kwioty, tem jo beł lo nich. A wieczorem znowuj jak kimać [1]) poszły, to ci je komary zastępywały. Po co te dranście żyjom, nijok psiokrew wykumbinuwać nie potrefję.

A druga rzecz gorszejsza to ta, co na wsi niemosz brachu czem ducha skrzepić i fantazji nabyć. W Krakowie masz Hawyłkę, Maurycia, Wyncla i tysiąc jenszych kirni. Na kużdyj ulicy jest kirni pięć, sześć, abo i więcej — mosz chłopie wygód i podczas najwinkszyj posuchy jaka jezd tero, o brak wilgoci nimosz boja. A na wsi ani jednyj takij chwielantropicznej jenstytucji. Chciołbyś se cycnąć, a nimosz gdzie. Bo chocia u gospodarzy jezd flacha i częstują cię blachą, ni mosz śmiałości pedzieć: dejcie drugom, trzeciom i dziesiątom. Te wiejskie ludzie ni majom psiokrew poińcia, co lo porządnygo miejskigo gościa trza na dziń przynajmnij pół flachy, coby mioł psiokrew humor. Tagem ci mioł dwie posuchy: powietrzną i gardłową. A i to chyba na wsi co nimo lelektryki.

Poszedłem raz na spacer w zimny wieczór z brzanami. Lezę i gwarzę, a w tym ryms i wpadam do rowu. Złamałem se psiokrew cztyry ziobra, a na lewy cybuch [2]), tom psiokrew cały tydzień kuśtykował. A jeszcze zamiast litosierdzia, to brzany ze dwora śmiały sie ze mnie i urągały, pedając: słuszno karo za łażenie po nocy z brzanami!

Takie ci som psiokrew wsiowe chyby i nieprzezpieczności. Ale jak psiokrew ludzie wsiowe muszyska i komary wytłukom, lelektrykę założom i chocia po trzy kirnie w kużdyj wsi otworzom — to bełby zatracony mętekaptusz, ktoby bez lato nie na wsi, a w mieście siedzioł. — i to w taki jeszcze gorąc, jak dzisia. Jo, psiokrew, znowuj daję dymę z Krakowa [3]).

[1]) Zapewne: larów i penatów.

PRECZ Z PRAWDĄ!

Prawda? satyra? — Po co nieprzyjaciół
Mnożyć „prawdami“ szczeremi.
Nic ten nie zyskał, co w prawdzie się zaciął —
Chociażby hydrze kłamstwa w środek łba ciął,
Nie stworzy raju na ziemi.

Zatem powieki stul — to moja rada —
Nie walić zaraz po ziobrze
Pokazać ludziom plecy — nie wypada!
Ja coś tam gadam, ty gadasz, on gada —
A jednak wszystkim jest dobrze.

[1]) Spać.
[2]) Nogę.
[3]) P. Wicek powrócił z willegiatury przed tygodniem. Monolog swój „grypsał“ w zeszły piątek (12 sierpnia), kiedy upał doszedł do szczytu, stąd też tak miastu „urągał“ — i zaraz znów uciekł z Krakowa. (Red.)

Dziś w uczciwości nie znajdzie rywala —
Nikt to nikomu nie zgani.
Na równi będzie stała zawsze szala,
Gdy ja cię zwalam, ty zwalasz, on zwala,
Gdy będziem wszyscy zwalani.

Wtedy krukowi kruk nie kolnie w oko.
Przeciwnie: dłoń dłoń umyje!
Wzlatywać wprawdzie nie będziesz wysoko,
Piersią Farysa oddychać głęboko,
Lecz i bez tego człek żyje!

A więc sza — cicho! — i ustanie sprzeczka,
Odbiegnie wszelka myśl trwożna.
Popłynie sobie wartką strugą rzeczka,
Brudna troszeczka, cuchnąca troszeczka,
Ale w niej przecie żyć można.

GALERJA PRZODKÓW.

Jeden z paskarzy, który utworzył sobie galerję obrazów, wpadł na myśl zebrania portretów swoich przodków. Usłużni kunsthandlerzy dostarczyli mu kilku starych bohomazów w kontuszach, kilku w mundurach wojskowych i urzędniczych, kilka portretów prababek w robronach i fryzurach — a nawet dwóch kanoników. Z fotografji wymalował mu jakiś drugorzędny Malczewski portrety rodziców i galerja przodków była gotowa. Pokazywał ją też właściciel każdemu.

Raz go odwiedził pewien literat, a więc zaraz pochwalił się przodkami.

— Kiedyś i mnie tu powieszą — rzekł z westchnieniem.

— Ach! — odpowiedział gość na to grzecznie — pan już dawno wisieć powinien.

REKLAMKA.

Jak wiadomo wychodzi w Poznaniu organ narwańców „Zdrój“ (rymy: gnój, pfuj), z którego niektóremi arcydziełami zaznajamialiśmy już naszych czytelników. Nakładem tego „Zdroju“ wychodzą „Nowe książki“, które skromni wydawcy tak w ogłoszeniach reklamują:

Jerzy Hulewicz. Wiano, bajka dramatyczna, cena 88 marek. Książkę tę należy polecić każdemu, kto łaknie głębokich a subtelnych wzruszeń tak rzadko dziś spotykanej oryginalnej poezji. (Nb. nakładcą i redaktorem „Zdroju“ jest pan... Jerzy Hulewicz).

Jan Stur. „Anima nostra“ (cena 80 marek). Jest to bardzo ciekawy zbiór wierszy i poematów, pisanych z szczerą głębią uczucia, pisanych gorąco — linja walk i popędu aż do etapu drugiego, którym jest książka tegoż autora „Triumfy“ (cena 100 mkp.), które odsłaniają nowe niebo artysty, pełne gwiazd, cieni, błyskawic, ogni.

Za 150 marek dostać można całą kolekcję „pyrotechtoniki, całe niebo gwiazd, błyskawic i ogni“ — to tanio, jak barszcz!

ZE ZNANYCH POEZYJ.

I.

Tato nie wraca — ranki i wieczory
We łzach go czekam i trwodze.
Wokoło szynki, spelunki i nory
Plantagenetki po drodze.

II.

W góry, w góry, miły bracie!
Tam „pensjonat“ czeka na cię.
Miły bracie, w góry, w góry!
Tam obedrą cię ze skóry.

W KOSZARACH.

Porucznik. Kapral! Ile razy ci mówiłem, żeby drzwi od „cugów“ zamykać. Cóż to za bałwan co je zostawił otworem?

Kapral. Melduję posłusznie, że pan major.

SZCZYTY.

Szczyt blagi: Nosić wciąż grzebyk i lusterko, będąc łysym.

Szczyt arogancji: Być na śmierć skazanym przez doktorów i żyć jeszcze lat trzydzieści.

Szczyt nieuwagi. Prosić o ogień przechodzącego wierzyciela.

Szczyt krótkowzroczności. Powracając do domu pocałować w przedpokoju żonę, zamiast pokojówki.

Szczyt zepsucia: Będąc w „Bagateli“ narzekać“, że sztuka jest zbyt przyzwoita.

Szczyt zarozumiałości: Będąc stałym czytelnikiem „Il. Kurjera Codz.“ uważać się za człowieka inteligentnego.

TAK DZIŚ BYWA.

— Panie pułkowniku, to nie ładnie — wczoraj czekaliśmy na pana z herbatą, a pan nie przyszedł — rzekła gospodyni domu do młodziutkiego „bohatera“.

— Daruje łaskawa pani, ale nie mogłem z powodu przybycia mojej najmłodszej siostry...

— A gdzież wyjeżdżała?

— Ona nigdzie nie wyjeżdżała. Ona dopiero wczoraj na świat przybyła.

Z WYKŁADU.

Profesor botaniki: Storczyk błotnisty, *caltha palustris*, rośnie i kwitnie tylko na bagnach... Jest on, że się tak wyrażę, świnią w botanice...

PRZED SĄDEM PRZYSIĘGŁYCH

Obrońca: Panowie przysięgli! Jestem przekonany, że klienta mego nie zasądzicie na karę, choćby przez wzgląd na wzniosłą chrześcijańską zasadę: **„Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło!“**

WUJ KALASANTY.

Stara moja kucharka, Kunegunda, widząc, że pomimo mnożników i zapomogi, mając kilka tygodni urlopu z powodu drożyzny nigdzie wyjechać nie mogę, radziła mi, abym postąpił w sposób następujący: Jej wuj, Kalasanty, wdowiec bezdzietny, który przed niedawnym czasem powrócił z Ameryki i mieszka na wsi, z powodu tego, że jej od dawna nie widział, zaprosił ją i jej męża, jeżeli wyszła za mąż, do siebie na kilkotygodniowy pobyt. Ja więc mogę, udając jej męża z nią i moimi dziećmi, które wujowi jako nasze dzieci przedstawimy, a tudzież z moją żoną jako pokojówką pojechać do wuja i kilka tygodni na wsi przepędzić. Ja i żona na to zgodziliśmy się. Kunegunda zawdziała strój miastowy, żona strój pokojówki, a dzieciom surowo nakazano, aby Kunegundę nazywały matką. Wuj Kalasanty przyjął nas bardzo serdecznie i początkowo bardzo się dziwił, że Kunegunda czyli moja żona w tak późnym wieku porodziła dzieci. Ponieważ jednak wedle biblji takie wypadki dawniej dość często się zdarzały, długo nad tem się nie zastanawiał. Dzieci moje wkrótce bardzo polubił i utrzymywał, że są zupełnie podobne do Kunegundy, a nawet przyszedł do przekonania, że mój syn ma taki sam oryginalny nos, jaki miała jego zmarła prababka. Ponieważ wuj posiada dom, składający się tylko z dwóch izb, sieni i kuchni, więc tak zarządził, że ja z Kunegundą jako mąż i żona tudzież z dziećmi spałem w izbie, zaś moja żona spać musiała w sieni. W izbie było tylko jedno łóżko i Kalasanty pomimo mej opozycji obstawał przy tem, że muszę spać w jednem łóżku z Kunegundą, gdyż według jego zapatrywań, małżeństwo razem spać powinno. Nie było na to innej rady i musiałem się z zarządzeniem Kalasantego zgodzić. O ile jednak Kalasanty nie widział, sypiałem na podłodze. Ponieważ jednak Kalasanty często późnym wieczorem do naszej izby przychodził na pogadankę, aby się nie zdradzić, leżałem w łóżku razem z Kunegundą, co do największych przykrości mego życia zaliczam. Zresztą było nam bardzo dobrze, bo Kalasanty bardzo się o nas starał. Raz tylko przyszło do scysji, to jest gdy Kalasanty spostrzegł, że moją żonę pocałowałem. Wówczas surowo mi oświadczył, że on żadnej niemoralności nie znosi i oświadczył, że jeżeliby się jeszcze raz coś podobnego powtórzyło, to muszę się bezzwłocznie wynosić. Odtąd unikałem żony. Po jakimś czasie zauważyłem, że Kalasanty coś za nadto kręci się koło mej żony i otacza ją szczególną troskliwością. Żona w stroju pokojówki wyglądała też uroczo. Skutek tego zaś był taki, że wszyscy parobczacy ze wsi byli w niej zakochani i że na tle zazdrości przychodziło między nimi do kłótni i niesnasek. Raz zaś wieczór zgromadziła się większa ilość adoratorów mojej żony i na tle zazdrości powstała pomiędzy nimi taka straszna bitka, że wójt był zmuszony interweniować i bijących się rozpędzać. Z tego powodu na drugi dzień przybył do mnie z asesorami i oświadczył mi, że ponieważ moja pokojówka jest przyczyną ciągłych bitek i niesnasek we wsi, muszę ją bezzwłocznie oddalić, bo jeżeli tego nie uczynię, to on na mocy swej władzy każe ją przymusowo odstawić do miejsca przynależności. Kalasanty, słysząc te słowa, wobec wójta i asesorów oświadczył, że on na to nigdy nie zezwoli, bo on się z moją pokojówką ożeni. Zaraz też nie pytając żony, udał się do proboszcza, do wsi pobliskiej, aby dać na zapowiedzi. Byliśmy w strasznym kłopocie! Trudno było wyznać prawdę. Postanowiliśmy zatem, nim Kalasanty od proboszcza powróci, wyjechać i wrócić do domu. Tak też rzeczywiście uczyniliśmy. Kalasanty nie dał jednak za wygranę i w jakiś czas potem w stroju świątecznym przybył do miasta i oświadczył się o moją żonę. Dużo potrzeba było czasu i wiele butelek piwa zanim Kalasanty dowiedziawszy się prawdy, udobruchał się. Obecnie jednak już nie ma do nas żalu. Wątpię jednak, czy nas na drugi rok do siebie zaprosi.

MONOLOG SCHMAJGEŁESA.

Niech sze państwo nie gniewają,
Że ja żyd, a krytykuję,
Ale słuszność mi przyznają,
Że co złe, ja także czuję.
Odkąd Polskę wolną mamy,
Wiele z tego jest radości —
Bezustannie urządzamy
Przeróżne uroczystości —
Bezustannie obchodzimy
To, co działo się latami,
To, co buło furt chwalimy
Z flagiem, wiecem i ucztami!
Dawniej bardzo słusznem było
Patrjotyzm forytowacz,
Ale teraz sze zmieniło —
Po co wciąż sze fatygowacz?
Czczijmy to, co dziś się dżeje,
Jeżli na to zasługuje —
Bo co było, nie istnieje —
Bo co było, już nie grzeje!
Najlepszym dowodem tego,
Że wiece i flagiwania
Coraz słabsze — mizernego
Une bardzo z wiglądania.
Na pochody, zgromadzenia
Coraz mniej przychodzi ludzi,
Bo za dużo tego czczenia,
Bo zapału w nich nie budzi.
Ny, a te propnowanie
Dla dawnej naszej przeszłości
Różnych pomników stawianie,
Muzeów dla potomności —
Uczczenie przez naród cały
Żołnierza, co go nieznają,
Tryumfalne bramy chwały

Stawianie, co nas czcić mają,
Nie na czasie, gdy panuje
W kraju nędza, brak żywności —
Tłum w koło wrogów czatuje,
Pragnie wojny okropności!
Na pomników budowanie,
Muzeów, tryumfu bramy
Na to wszystko czas nastanie,
Gdy potęgę uzyskamy.
My żydzi to mamy przecie
Od Mojżesza do tej chwili
Wielkich mężów moc na szwecie,
A choć my ich nie uczcili
Przez pomniki, różne bramy,
Nie brakuje im wielkości,
Bo my sercem ich kochamy —
Mamy dla nich moc miłości.
Zresztą nikt życia swojego
Ojczyźnie nie ofiaruje
Za to, że potomność jego
Pomnik za to mu zbuduje.
Ja za moje dobre czyny
Chcę za życia być uznanym —
Na pomniki i wawrzyny
Gwiżdżę, gdym już pochowanym!
Co zmarłemu jest wieszczowi
Z pomnika za miljony?
Gdy za życia nie był czczony,
Konał w nędzy opuszczony!

LIV. LIST KACPRA KRUPY
WSPÓŁPRACOWNIKA "DJABŁA" z LONDYNU.

Paryż, w sierpniu 1921.

Wielebna Redakcjo!

Razem z Lloydem Georgeonem, lordem Curzonem i posłem japońskim Hagaskim udałem się do Paryża, aby wziąć udział w konferencji Rady najwyższej i sprawy przypilnować. Na dworcu kolei żelaznej w Paryżu oczekiwał nas Briand, Bertehlet i inni dygnitarze. Briand, który z mego przybycia bardzo się cieszył, zaprosił mnie i wszystkich obecnych na obiad do hotelu „Crilon". Obiad był bardzo dobry. Najpierw piliśmy absynt, a potem różne bardzo drogie francuskie wina. Ja siedziałem przy pośle japońskim Hagaskim. Bardzo przyzwoity człowiek, a pił tak, jakby jego głównem zadaniem było nie posłowanie ale picie. Początkowo o polityce nie było mowy. Aby skierować rozmowę na kwestje polityczne, w sposób delikatny skierowałem rozmowę na spodnie posła Grabskiego. Rozmowa zaraz bardzo się ożywiła i wszyscy sprawą tą się zainteresowali. Lloyd Georgeon w toku rozmowy postawił pytanie, czy na świecie istnieją narody, które chodzą bez spodni? Wywołało to bardzo interesowną dysputę, w której wszyscy brali żywy udział. Gdy tak się towarzystwo ożywiło, kazał Briand podać szampana i picie na dobre się rozpoczęło. Poruszano różne kwestje polityczne, a z zachowania się Lloyda Georgeona nabrałem przekonania, że nasza sprawa nie stoi źle. Po obiedzie, który się przeciągnął do wieczora, na moją propozycję poszliśmy wszyscy do pobliskiego kabaretu. Tam już o polityce nie było mowy. Zdaje mi się jednak, że wszystko będzie dobrze. Z posłem japońskim Hagaskim zostałem w kabarecie do rana.

Z poważaniem *Kacper Krupa.*

Kawaler krakowskiej marki ewakuacyjnej Nr. 18907.

P. S. Lloyd Georgeon przebrany za kominiarza, uciekł z Paryża i udał się do Londynu. Na dworcu kolei żelaznej chciałem go dać aresztować, ale tak jak w Krakowie w promieniu dwóch kilometrów nie było policjanta. Sytuacja bardzo się pogorszyła.

»PUZAP AMERYKAŃSKI« CZYLI »BANK WZAJEMNEGO ZAUFANIA«.

W numerze z dnia 5 lipca 1921 roku czasopisma wychodzącego w Nowym Jorku „Star", pojawiła się notatka treści następującej:

Sprzeniewierzenie. Dowiadujemy się z wiarygodnego źródła, że w „Puzapie", czyli „Banku wzajemnego zaufania" zaszło bardzo znaczne sprzeniewierzenie. Braki wynoszą przeszło sto tysięcy dolarów. Wyższy urzędnik banku Bill Crookey jest silnie podejrzany o dokonanie tego karygodnego czynu i jak słyszeliśmy, uciekł. Życie nad stan tego urzędnika wzmaga powzięte przeciw niemu podejrzenie. Powszechnie wiadomą jest rzeczą, że czas dłuższy utrzymywał, pomimo, że jest żonaty, stosunek miłosny z adeptką sztuki, Mabelą Jankins i nawet gdy przed paru miesiącami wyszła za mąż za Johna Williama Clifa, tytułem posagu, czyli odczepnego, wręczył jej piętnaście tysięcy dolarów. Obecnie w Banku przeprowadza rada nadzorcza ścisłe badanie ksiąg i funduszów kasowych. Nie omieszkamy podzielić się z czytelnikami dalszemi wiadomościami, jakich w tej ze wszech miar interesującej sprawie zasięgnąć nie omieszkamy.

* * *

Zaraz dnia następnego po wyjściu numeru z 5 lipca dziennika „Star", otrzymała redakcja tegoż dziennika list następujący:

„Do Redakcji „Stara"!

„Z oburzeniem ludzi prawych i uczciwych wyczytaliśmy w numerze szanownego dziennika z dnia 5 lipca o rzekomych defraudacjach, które

zajść miały w „Puzapie", czyli „Banku wzajemnego zaufania", którego to banku mamy zaszczyt być kierownikami. Wiadomość ta jest ohydnem oszczerstwem. Z oburzeniem odpieramy podobne obwinienie. W naszym banku nie tylko żadna defraudacja nigdy nie zaszła, ale defraudacja zajść wogóle nie może i nigdy nie zajdzie. Księgi prowadzone są sumiennie i wzorowo, kasa pozostaje pod pięciorakiem zamknięciem: jeden klucz ma dyrektor pierwszy, drugi dyrektor drugi, trzeci buchalter, czwarty kontrolor, a piąty ze wszech miar zacny i wielce szanowny wyższy urzędnik banku, Bill Crookey, który się cieszy nieograniczonem zaufaniem rady nadzorczej, osób prywatnych i całego miasta. Potwornem jest przypuszczenie, aby zacny Bill Crookey, w domu którego bywają wszyscy dygnitarze miasta, który jest członkiem klubu miljonerów, dopuścił się sprzeniewierzenia. Rada nadzorcza do niego ma i mieć będzie takie zaufanie, że kontrolując jego czynności urzędowe, okryłaby siebie nieśmiertelną hańbą i wyrządziła zacnemu Bill Crookeyowi obrazę tak dotkliwą, że z bronią w ręku mógłby się o zadosyćuczynienie upomnąć. Niechże raz społeczeństwo zrozumie, że bank nasz oparty jest nie na kontroli, lecz na wzajemnem zaufaniu! Rada nadzorcza ufa dyrekcji, dyrekcja ufa kasjerom, kasjerzy ufają kontrolorom, kontrolerzy urzędnikom, a akcjonarjusze wszystkim.

Zacny Bill Crookey skutkiem nadmiaru pracy nadwyrężył swoje zdrowie i bawi obecnie na świeżem powietrzu. Oby mu Bóg powrócił zdrowie i nie pozbawiał nas męża, który jest naszą chlubą, dumą i radością. Jak zacny Bill Crookey swemi prywatnemi fundaszami rozporządza, czy wspiera artystki, czy nie? nic nikogo nie obchodzi, bo każdy swemi prywatnemi funduszami dowolnie rozporządzać może. Osoby, rozsiewające fałszywe wieści o naszym banku, o instytucji, którą się każdy naród chlubić może, rozsiewając w tym celu, aby byt banku podkopać, będziemy bez litości ścigać sądownie i już udzieliliśmy pod tym względem naszemu prawnemu doradcy, Abrahamowi Szmatzowi polecenie, aby wniósł skargę sądową. — Z poważaniem

Zacharjasz Loaf, dyr. I. *Cleveland Maher*, dyr. II. *Abel Phleba*, buchalter. *B. Rolf*, kontrolor.

* * *

W ten sam dzień popołudniu otrzymała redakcja „Stara" list drugi:

Szanowna Redakcjo!

Chcąc zapobiedz potwornym wieściom, jakoby w naszym banku sprzeniewierzono przeszło sto tysięcy dolarów, przedsięwzięliśmy dokładne badanie ksiąg i kas, które dotychczas nie jest ukończone i wykazało dotąd, że brakuje zaledwie kilkadziesiąt dolarów. Brak ten nie powstał skutkiem sprzeniewierzenia, ale jest wynikiem błędnej manipulacji. W naszym banku, jak to poprzednio mieliśmy zaszczyt zauważyć, defraudacja jest wprost niemożliwa. Badania ksiąg i kas przeprowadzamy dalej raz dlatego, ponieważ sprawia nam to niebiańską przyjemność stwierdzić, jak wszystko jst wzorowo prowadzone, powtóre, że w ten sposób położymy tamę dalszym niecnym potwarzom. Ponieważ jednak brak kilkudziesięciu dolarów przypisać należy kontrolorowi B. Ralfowi, który w tym czasie, w którym błąd manipulacyjny powstał, mając katar udał się do domu po drugą chustkę do nosa, za to natychmiast został zasuspendowany. Niech się publiczność dowie, jak surowo obchodzimy się z naszymi urzędnikami i nie traci do nas zaufania. Na wyższego naszego urzędnika Bill Crookeya nie tylko nie pada nawet cień podejrzenia, ale uczciwość, prawość i zacność jego jaśnieją jak meteor w ciemnej nocy. Wysłaliśmy do niego jednego z naszych urzędników, by niektóre dla nas niezbyt jasne pozycje w księgach kasowych wyjaśnił. Bill Crookey przyjął go jak brata, częstował szampanem i był na niecnych potwarców oburzony. Jeżeli dotychczas nie powrócił, to jedynie z powodu nadwyrężonego zdrowia, które dla nas i dla społeczeństwa ma nieocenioną wartość. — Z poważaniem

Zacharjasz Loaf, dyr. I. *Cleveland Maher*, dyr. II. *Abel Phelbs*, buchalter.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z TYGODNIA.

(Luźne kartki. — Feljeton składany).

I. Najtęższe w Polsce głowy.

Związek profesorów szkół akademickich we Lwowie skarży się w piśmie do rządu na swoje materjalne położenie.

Zupełna racja. Niema chyba przykładu na świecie, aby ludzie oddający się pracy naukowej, otwierający młodzieży wrota najwyższej wiedzy, w uposażeniu materjalnem stali na równi z „panienkami" piszącemi i flirtującemi po biurach cywilnych i wojskowych, aby mieli dwa razy mniejsze dochody, niż robotnik murarski, czeladnik szewski, tragarz, brukarz, rozwoziciel węgli, posłaniec publiczny lub pierwszy lepszy wagabunda odnoszący walizki, sprzedający kwiatki czy papierosy.

Ale lwowscy panowie profesorowie szkół akademickich, słusznie skarżąc się na swe losy, mocno się przy tej sposobności skompromitowali,

wprost ośmieszyli się, nazwali się bowiem „najtęższemi głowami w narodzie“. „Naród (powiadają) nie wymaga od rządu robienia oszczędności na najtęższych swych głowach“.

Hola, panowie — kto to wam powiedział, żeście najtęższe głowy. A jeżeli powiedział, to skłamał. Uczona głowa, a tęga głowa, to są przeważnie dwie rzeczy odmienne.

„Najtęższym w narodzie głowom pomieszało się w głowie“.

Tęgie, tęższe i najtęższe głowy mogą siedzieć tak na katedrach, jak i na wszelkich innych stołkach, ławkach, krzesłach, fotelach, kanapach, otomanach i innych miejscach do siedzenia przeznaczonych.

Gdyby panowie profesorowie nazwali się „najuczeńszemi głowami w Polsce“, to byłoby już nieco więcej zbliżone do prawdy, choć i tak byłaby to jeszcze wielka przesada.

Można wyliczyć cały szereg uczonych, którzy katedr nie zajmowali, a jednocześnie podać długi spis nazwisk profesorów szkół akademickich, którzy byli i są zerami w nauce.

Na katedrach zasiadają zarówno uczeni, jak mało uczeni, jak i niedouczeni. Są ludzie, którzy umieją za sobą chodzić i wdrapywać się bez kwalifikacji na najwyższe szczeble wszelkiej karjery, a więc i naukowej. A protekcja? a nepotyzm? Na katedrach tęgich głów (nawet w nauce) nie mamy zbyt wiele, a cóż dopiero „najtęższych“. Rozpierają się na nich często głowy słabe, słabiuchne — „uczonki“, a nie uczeni.

Zresztą do siedzenia na katedrze potrzeba nie tyle głowy, ile innej części ciała. Puszkin napisał taki „ucinek“ o kniaziu Dundukowie-Korsakowie:

W Akademji Nauk
Zasidajet Dunduk.
Gawarjat nie powieliajet
Dunduka takaja czest!
Paczemuż on i zasidajet?
Patamu, czto żopa u niewo jest‘.

(W Akademji Nauk zasiada Dunduków. Mówią, że mu się taki honor nie należy. Dlaczegóż więc *zasiada?* Dlatego, że d... u niego jest).

Otóż na katedrach naszych uczeni akademickich Dundukowych nie braknie.

Dowodzi tego i ów frazes o „najtęższych w narodzie głowach“.

Nie tylko najtęższe, ale nawet średnio tęgie głowy poczułyby, że tak pisać o samych sobie nie wypada — choćby to nawet było prawdą.

Oj! nie tęgie to głowy te... najtęższe głowy“.

II. Wszakże to Grecja płacić ma.

Ministerstwo spraw wojskowych urządziło wycieczkę dziennikarzy na wschodnie kresy.

Dziennikarzom dano wygodną „salonkową“ jazdę, papu, ptru-ptru i t. d. Urządzano im przyjęcia, bankiety. I to wszystko... za darmo.

Pojechali, najedli się, napili, wiele zwiedzili, wiele wrażeń doznali — i powrócili.

Krakowscy uczestnicy wycieczki czuli się w obowiązku zdać sprawę z wycieczki. Inni uznali tylko, że im się należało ugoszczenie, przyjęcie — i odpoczywają.

Z dziennikarzy warszawskich tylko jeden napisał krótki artykuł — reszta milczy, widocznie jeszcze trawi.

Pytanie, poco takie wycieczki, a raczej kto wybiera na nie dziennikarzy pisać nie chcących, a nawet choćby chcieli, nie umiejących?

Bo są różni dziennikarze. Jedni czegoś się uczyli i umieją coś napisać, drudzy umieją tylko „czytaty“, ale „pisaty“ ani rusz. I ci drudzy przedewszystkiem podają się na wycieczki.

Ta sama historja była z wycieczką dziennikarzy do Wielkopolski. Pojechali, z małym wyjątkiem, sami reporterzy, ludzie, których los oderwał od szewstwa, ślusarstwa, aktorstwa i innych zajęć, aby w dziennikach wycinali, przepisywali, odbierali telefony i t. d.

Dziennikarz prawdziwy, a dziennikarz taki z przypadku z braku innego zajęcia, to dwa odmienne rodzaje.

Pierwszy coś wie i coś umie powiedzieć. Drugi umie zjeść, wypić i przespać się. Tymczasem stawia się na równi ludzi zdolnych, ukwalifikowanych, z szarą rzeszą wzmiankarzy.

I to i to.. pan redaktor. Dziesięciu wierszy uczciwie napisać nie umie, ale... pan redaktor.

W wypadku, o którym mowa, zachodzi podwójna nieuczciwość. Nieuczciwość tych, co nieodpowiednich ludzi wysyłają (prawdziwi dziennikarze często o takich wycieczkach i „miłych okazjach“ dowiadują się *post factum*) i nieuczciwość tych, co pojechali na koszt państwa (a koszt to nie mały), aby się zabawić i nic nie napisać.

Wiadomo nam i to jeszcze, że niektórzy z wycieczkowców pobrali z redakcyj ładne zasiłki. A więc nie tylko się zabawili, przyjemnie czas spędzili, ale jeszcze... zarobili.

Co za pożytek z takich wycieczek? Za co biedna... Grecja — płacić ma?

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Władysław Borkowski.

Zakłady Graficzne E. i Dr. K. Koziańskich w Krakowie.